

NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

ROBYN CARR

*Apetyt
na miłość*



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

Robyn Carr

Apetyt na miłość

Przekład
Jacek Żuławnik

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Shelby dzieliło od rancza wuja Walta nie więcej niż piętnaście kilometrów, kiedy musiała zjechać na pobocze drogi stanowej numer 36 na najbardziej zatłoczonym odcinku między Virgin River a Fortuną, i zatrzymać się za starym, wyglądającym znajomo pikapem. Droga numer 36 prawie na całej swej długości była dwupasmową szosą przecinającą górskie pasmo i łączącą Red Bluff z Fortuną. Shelby zatrzymała wiśniowego dżipa i wysiadła. Deszcz wreszcie ustał, pokazało się letnie słońce, lecz droga nadal była mokra. Stał na niej mężczyzna w jasnopomarańczowej kamizelce i lizakiem zatrzymywał samochody. Zjazd w kierunku domu wuja Walta znajdował się po drugiej stronie najbliższego wzgórza.

Podeszła do zaparkowanego przed nią pikapu, omijając po drodze kałuże. Chciała zapytać kierowcę, czy wie, co się dzieje. Gdy znalazła się przy drzwiach od strony kierowcy, uśmiechnęła się szeroko.

- Cześć, doktoru.

Doktor Mullins, powszechnie zwany Dokiem, wyjrzał przez otwarte okno.

- Cześć, mała. Przyjechałaś na weekend? - zapytał zrzędliwie, jak to on.

- Nie tym razem. Sprzedałam dom po matce w Bodega Bay. Spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy i zamierzam zatrzymać się u wuja Walta.

- Na stałe?

- Nie, tylko na kilka miesięcy.

- Przyjmij moje kondolencje, Shelby. - Grymas Doka odrobinę złagodniał. - Mam nadzieję, że jakoś się trzymasz.

- Coraz lepiej. Dzięki. Mama była gotowa na odejście. - Kiwnęła głową w stronę drogi. - Wiesz, co jest grane?

- Osunęło się pobocze. Połowę pasa diabli wzięli.

- Barierki byłyby nie od parady - zauważyła.

- Tylko na ostrych zakrętach. Na prostej musimy radzić sobie sami. Cholerne szczęście, że żaden samochód nie poleciał razem z poboczem. Tylko jeden pas pozostał przejezdny. Tak będzie przez kilka dni.

- Jak już dotrę do wuja, będę mogła zapomnieć o tej drodze. - Wzruszyła ramionami.

- Jakie masz plany, jeśli mogę spytać? - powiedział Dok, unosząc krzaczaste brwi.

- Zamierzam odwiedzić rodzinę, a także porzysłać podania do szkół. Chcę zostać pielęgniarką - odparła z uśmiechem. - To oczywisty wybór po tych wszystkich latach opieki nad mamą.

- A niech to, następna pielęgniarka - rzucił gniewnie. - Od młodości zatruwacie mi życie. Przez was wpadnę w alkoholizm.

- Przynajmniej nie będziesz długo leciał - odparła ze śmiechem.

- Oho, następna bezczelna się znalazła.

Znów się roześmiała. Uwielbiała starego zgryźliwca.

Jakiś mężczyzna wysiadł z auta, które zatrzymało się za dżipem Shelby. Włosy miał przystrzyżone jak wojskowy, do czego zdążyła się przyzwyczać, bo jej wuj był emerytowanym generałem. Szerokie, umięśnione ramiona i płaski brzuch opinał czarny T-shirt. Shelby patrzyła zafascynowana, jak zbliżał się do nich taki zgrabny, silny i gibki, wykonując minimum ruchów. Nie śpieszył się, był pewny siebie, wręcz arogancki. Szedł wolnym krokiem, trzymając kciuki zatknięte za kieszenie spodni. Gdy się zbliżył, zauważyła jego lekki uśmiech, a także to, że się jej przyglądał, czy może raczej lustrował ją, mierząc błyszczącym spojrzeniem.

Marzenie ściętej głowy, pomyślała, uśmiechając się do siebie.

Mijając auto Shelby, zerknął do środka, zobaczył te wszystkie torby i pudła, po czym podszedł do niej.

- Twój? - zapytał, wskazując dzipa.

- Aha.

- Dokąd jedziesz?

- Do Virgin River. A ty?

- Tak samo. - Wyszczерzył zęby. - Wiesz, co się stało?

- Osunęła się ziemia - wtrącił się Dok. - Na czas naprawy zwężili drogę do jednego pasa, choć na razie i na nim wstrzymano ruch. Co cię sprowadza do Virgin River?

- Mam nad rzeką parę starych domków kempingowych. - Popatrzył na nich, po czym spytał: - Mieszkacie w Virgin?

- Moja rodzina tam mieszka. Jestem Shelby.

- Luke. - Uścisnął jej małą dłoń. - Luke Riordan.

- Spojrzał na Doka, wyciągając rękę. - Dzień dobry panu.

- Mullins. - Dok tylko skinął głową. Dłonie miał tak bardzo poskręcane przez artretyzm, że wołał nie ryzykować.

- Doktor Mullins od urodzenia mieszka w Virgin River. Prowadzi tam przychodnię - wyjaśniła Shelby.

- Miło mi pana poznać, doktorze - powiedział Luke.

- Kolejny marynarzyk? - zapytał Dok, unosząc siwe brwi.

- Pomyłka. - Luke wyprostował się. - Siły lądowe, proszę pana. - Spojrzał na Shelby. - Kolejny marines? O co chodzi?

- Kilku naszych znajomych z Virgin River służyło w Marine Corps. Czasami odwiedzają ich kumple, niektórzy nadal są w czynnej służbie. Ale mój wuj, u którego zamierzam na pewien czas się zatrzymać, obecnie emeryt, służył w siłach lądowych. - Błysnęła uśmiechem. - Z tą fryzurą nie będziesz się wyróżniał. Kompletnie nie pojmuję, co wy tak kochacie w tym języku na głowie.

Nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się wyrozumiale.

Gdy czekali w sznurze samochodów, wreszcie otwarto jeden pas ruchu. Jako pierwszy ruszył autobus szkolny, by jednak rozładować korek, musiało minąć jeszcze sporo czasu. Nie spieszili się do swoich aut. Stali na drodze, gawędząc leniwie, co dla Luke'a skończyło się pechowo, ponieważ w tej

samej chwili zauważył zarówno toczący się autobus, jak i sporą kałużę. Błyskawicznie wskoczył między Shelby a autobus, przyciskając ją do drzwi pikapu Doka i biorąc na plecy solidny strumień niezbyt czystej wody.

Ale macho, pomyślała rozbawiona Shelby.

Luke usłyszał zgrzyt skrzyni biegów i pisk hamulców.

- Jezu - mruknął, odsuwając się od Shelby i patrząc na autobus.

Z okna kierowcy wychyliła się na oko pięćdziesięcioletnia dama o okrągłej twarzy, różowych policzkach i z grzywą krótkich, czarnych włosów.

- Sorki - rzuciła z uśmiechem. - Nie dało się ominąć.

- Dałoby się, gdybyś nie pędziła jak szalona! - krzyknął rozeźlony.

- E tam, wcale nie gnałam jak wariatka - odparła pogodnie. - Szybko, i owszem, ale nie jak wariatka. Wiesz, trochę mi się śpieszy. Dam ci dobrą radę za pięć centów: jak jedzie na ciebie wielki żółty autobus, to schodź z drogi!

Te słowa, i ten jej radosny uśmieszek... Luke'owi zagotowało się pod szczecinałą na głowie, miał ochotę zakląć. Jednak kiedy się odwrócił, zobaczył,

że Shelby aż krztusi się ze śmiechu, zasłaniając usta.

- O, masz tu plamkę. - Uprzejmie wskazała jego T-shirt.

Dok miał swoją dyżurną zrędliwą minę, jednak z wyjątkiem oczu, w których wesoło połyskiwało.

- Molly śmiga tym wielkim żółtym ogórkiem po górach już trzydzieści lat. Nikt nie zna lepiej tych dróg. Widocznie tym razem zapomniała ominąć wybój.

- Ale przecież nie ma jeszcze września - marudził Luke.

- Jeździ przez cały rok. Letnia szkoła, specjalne programy, zawody sportowe. Wiecznie coś się dzieje. Święta kobieta, żywcem pójdzie do nieba. Za żadne skarby nie wziąłbym tej roboty. - Głośno wrzucił bieg. - Nasza kolej.

Shelby pobiegła do dżipa. Luke ruszył w stronę swojego samochodu, którym ciągnął przyczepę kempingową. Usłyszał, jak Dok krzyczy za nim:

- Witaj w Virgin River, synu. Baw się dobrze. - I zarechotał.

Shelby McIntyre wiele miesięcy remontowała dom zmarłej matki, lecz mimo to latem udawało jej się w niemal każdy weekend wyrwać z Bodega Bay

do Virgin River, żeby pojeździć konno. Dzięki temu trzymała formę, a jej oczy lśniły witalnością i zdrowiem. Ćwiczyła regularnie i intensywnie, co sprawiało jej ogromną radość.

Ale teraz, w połowie sierpnia, kiedy zaparkowała przed domem Walta, czuła się zupełnie inaczej. Sprzedała dom, zapakowała dobytek do dżipa i w wieku dwudziestu pięciu lat zamierzała zacząć nowe życie. Nacisnęła klakson, wysiadła z auta i rozprostowała się. Po chwili uśmiechnięty wuj Walt zjawił się w drzwiach.

- Witaj - powiedział. - Albo raczej: witaj w domu.

- Cześć. - Przytuliła się do niego. Wuj miał metr osiemdziesiąt z hakiem, siwe włosy, ciemne, krzaczaste brwi i dłonie oraz ramiona jak zapaśnik. Okaz potężnie zbudowanego sześćdziesięciolatka.

- Właśnie miałem pójść do stajni i siodłać. - Mocno ją wyściskał. - Zmęczona? Głodna?

- Nie mogę się doczekać, żeby wskoczyć na konia, ale chyba sobie daruję. Od paru godzin siedzę za kółkiem.

- Odparzyłaś sobie tyłek, co? - skomentował wesoło.

- Mhm. - Pomasowała pupę.

- Wybieram się na godzinną przejażdżkę wzdłuż rzeki. Vanni pojechała na budowę przeszkadzać

Paulowi w robocie, ale niedługo wróci i przygotuje powitalną kolację.

Shelby zerknęła na zegarek. Było wpół do czwartej.

- Wiesz co, skoro tak, to skoczę do miasta. Przywitam się z Mel Sheridan, może nawet namówię ją na piwo, by oblać moją przeprowadzkę. Wrócę na tyle wcześnie, żeby pomóc przy koniach przed kolacją. Wypakować najpierw rzeczy z auta i zanieść do środka? - zapytała.

- Nie zwracaj sobie głowy. Potem pomożemy ci z Paulem.

Rzuciła mu uśmiech.

- Umówmy się na jutro rano, co? Pogalopujemy razem?

- Ma się rozumieć. Jakież problemy ze sprzedażą domu?

- Nie sądziłam, że tak się rozczulę. Myślałam, że jestem gotowa.

- Żałujesz?

Spojrzała na niego wielkimi orzechowymi oczami.

- Płakałam przez pierwszych sto kilometrów, a potem poczułam się podekscytowana nową sytuacją. Dobrze zrobiłam.

- No i świetnie, kochanie. Cieszę się, że przyjechałaś.

- Tylko na kilka miesięcy. Potem chcę trochę pozwiedzać, ułożyć plany na przyszłość, mentalnie nastawić się na naukę. Trochę minęło, od kiedy byłam studentką.

- Wiesz, nam się tutaj żyje spokojnie. Skorzystaj z tego.

- No jasne! - Roześmiała się. - Prawdziwa sielanka, tylko co jakiś czas strzelanina albo pożar lasu.

- Dziewczyno, przecież nie możemy się zanudzić!
- Odprowadził ją do dżipa.

- Zaczekaj na mnie ze sprzątaniem boksu i karmieniem koni.

- Jedź do Virgin, poplotkuj z Mel, wypijcie po piwie. Musiało ci tego brakować przez ostatnie lata. Jeszcze zdążysz poprzerzucać końskie łajno.

- Dzięki, wujku - odparła ze śmiechem. - Niedługo będę z powrotem.

Pocałował ją w czoło.

- Nie musisz się śpieszyć, ciesz się chwilą. Dobrze się opiekowałaś moją siostrą. Zasłużyłaś na relaks, beztroskę...

- Do zobaczenia za parę godzin. - Ruszyła w stronę miasta.

Luke Riordan wjechał do miasteczka. Na pace jego pikapu z przedłużoną kabiną stał przypięty pasami harley, ciągnął też niewielką przyczepę kempingową. Od ostatniej wizyty w Virgin River minęło siedem lat. Sporo tu się zmieniło. Zamknięto kościół, ale budynek w centrum, który niegdyś był starą, porzuconą rudera, został odnowiony. Parkowały przed nim auta osobowe i pikapy, a w oknie wisiał wielki napis „Otwarte”. Z tyłu trwały prace budowlane, widać było szkielet pod przybudówkę. Ponieważ Luke też myślał o remoncie, postanowił przyjrzeć się, jak odnowiono starą chatę. Zaparkował na poboczu i wysiadł. Zniknął w przyczepie, zdjął ubrudzoną błotem koszulę i włożył czystą.

Sierpniowe popołudnie było ciepłe. Wiał miły wietrzyk, ale w górach noc będzie chłodna. Zanim się tu wybrał, nawet nie sprawdził, czy dom, w którym zamierzał zamieszkać, a który od roku stał pusty, nadaje się do tego. Ale gdyby się okazało, że niekoniecznie, zawsze miał do dyspozycji przyczepę. Odetchnął głęboko. Powietrze było tak diabelnie czyste, że aż kłuło w płucach. Ogromna różnica w porównaniu z pustyniami Iraku i El Paso. Tego właśnie potrzebował.

Przekroczył próg drewnianego domku i znalazł się w przytulnej wiejskiej knajpcie. Stał w drzwiach i rozejrzał się z podziwem. Podłoga z desek lśniła, w kominku trzaskały polana, a ściany zdobiły wędkarskie i łowieckie trofea. Było tu z tuzin stolików oraz długi lśniący bar, za którym ujrzał półki pełne trunków i szklanek. Butelki stały wokół wypchanego łososia, który musiał ważyć chyba ze dwadzieścia kilogramów. Zamocowany wysoko w rogu telewizor ze skręconym potencjometrem, pokazywał wiadomości. Dwóch rybaków, co zdradzały kamizelki i czapki w kolorze khaki, siedziało przy końcu baru i grało w *cribbage*. Przy stoliku obok kilku mężczyzn ubranych w stroje robocze popijało drinki. Luke spojrział na zegarek. Była szesnasta. Podszedł do baru.

- Co podać? - zapytał barman.

- Zimne z beczki proszę. Kiedy ostatni raz tu przyjechałem, tej knajpy nie było.

- No to dawno nie zaglądałeś. Prowadzę ten bar od ponad czterech lat. Kupiłem tę chatę i przerobiłem.

- Niezła robota. - Odebrał piwo. - Też planuję remont. - Wyciągnął rękę. - Luke Riordan.

- Jack Sheridan. Miło mi.

- Kupiłem kilka starych domków letniskowych nad rzeką. Od lat stały puste i niszczały.

- Stare domki Chapmana? - zapytał Jack. - Staruszek zmarł w zeszłym roku.

- Tak, wiem. Zobaczyłem je, kiedy przyjechałem zapolować z jednym z moich braci i przyjaciółmi. Uznaliśmy, że skoro domki leżą nad samą rzeką, to są coś warte. Planowaliśmy je kupić, odnowić i urządzić, a potem sprzedać z zyskiem, ale stary Chapman nawet nie chciał o tym słyszeć...

- Nie miałyby gdzie się podziać, gdyby sprzedał wszystko - powiedział Jack, przecierając bar.

- Zgadza się. - Luke upił lodowatego piwa. - Dlatego kupiliśmy całą posiadłość, łącznie z jego domem, i uzgodniliśmy, że może w nim mieszkać do końca życia, nie płacąc ani grosza. Okazało się, że przeżył jeszcze siedem lat.

- Ubił niezły interes. - Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ale ty też. W okolicy nie tak często pojawia się posiadłość na sprzedaż.

- Od razu się zorientowaliśmy, że ziemia pod tymi domkami jest warta znacznie więcej niż same domki. Od tamtej pory nie miałem okazji przyjechać, a brat był tu tylko raz, żeby się rozejrzeć. Powiedział, że nic się nie zmieniło.

- Czemu nie przyjeżdżałeś?

- No cóż... - Podrapał się w podbródek. - Afganistan, Irak, Fort Bliss i parę innych miejsc.

- Siły lądowe?

- Zgadza się. Dwadzieścia lat.

- Ja odsłużyłem dwadzieścia w piechocie morskiej - rzucił Jack. - Uznałem, że przez następnych dwadzieścia będę podawał drinki, polował i łowił.

- Niezły plan!

- Wziął w łeb przez śliczną położną, niejaką Melinę. - Uśmiechnął się. - Złapała mnie i trzyma...

Miło, że ktoś jest zadowolony z życia, pomyślał Luke. Odwzajemnił uśmiech, a potem zapytał:

- Sam remontowałaś?

- Pomagali mi, ale wolę sam. Natomiast bar to robota na zamówienie, przywieźli i ustawili. Zamontowałem półki i położyłem podłogę. Kiepsko mi idzie hydraulika, a do tego sknocilem kable, więc zleciłem tę robotę, ale drewno to inna sprawa. Na tyłach dobudowałem sporą część mieszkalną, którą zajął mój kucharz, Proboszcz. Rozbudowuje ją, bo powiększyła mu się rodzina. A ty będziesz odnawiał te domki?

- Najpierw muszę zobaczyć, co i jak. Chapman miał już swoje lata, kiedy kupił posiadłość, więc dom zapewne wymaga pracy. Nie mam też pojęcia,

w jakim stanie są domki, ale i tak nie mam nic lepszego do roboty. W najgorszym razie odremontuję dom i pomieszkam trochę. W najlepszym odnowię wszystko i wystawię na sprzedaż.

- A gdzie twój brat? - zapytał Jack.

- Nadal w służbie. Stacjonuje w Beale Air Force Base, lata na U-2. Na razie jestem sam.

- A ty na czym służyłeś?

- Latałem na Black Hawkach.

- No, no... - Jack pokręcił głową. - Na pierwszej linii.

- Żebyś wiedział. Przeżyłem swoje.

- Rozbiłeś się?

- Jeszcze czego! - oburzył się Luke. - Musieli mnie zestrzelić.

- No, ładnie. - Jack się roześmiał. - Ale przeżyłeś.

- To nie był pierwszy raz, i w przebłysku geniuszu uznałem, że ostatni.

- Coś mi mówi, że rzucało nas po tych samych miejscach. Może nawet w tym samym czasie.

- Powalczyło się, co?

- Afganistan, Somalia, Bośnia, dwa razy Irak.

- Mogadiszu... - Luke pokręcił głową.

- Taa... Zostawiliśmy wam niezły bałagan. Fatalnie się z tym czułem. Wielu waszych nie wróciło. Przykro mi, stary.

- Było źle. - Coś, co zaczęło się jako misja humanitarna pod auspicjami ONZ, zakończyło się okrutnym powstaniem po tym, jak wycofano siły piechoty morskiej, pozostawiając na miejscu jedynie oddziały lądowe. Somalijski watażka Aidid przypuścił atak, w wyniku którego zginęło osiemnastu amerykańskich żołnierzy, a ponad dziewięćdziesięciu zostało rannych. - Musimy się upić pewnego dnia i pogadać o tamtych czasach.

Jack sięgnął przez bar, położył dłoń na ramieniu Luke'a i powiedział:

- Jasne. Witaj w mieście, bracie.

- Okej, to teraz mi powiedz, gdzie można tu się zabawić i poznać miłe dziewczyny, do kogo zadzwonić, gdybym potrzebował pomocy przy domu, i o której mogę tu dostać piwo.

- Stary, już od dawna nie rozglądam się za panienkami. Ale z tym to na wybrzeże, do Fortuny czy Eureka. W Ferndale jest Brookstone Inn, miła restauracja i bar. Stara Eureka też jest w porządku. Jeśli wolisz bliżej, to w Garberville masz knajpkę z szafą grającą. - Wzruszył ramionami. - Kiedyś widziałem tam niebrzydkie dziewczyny. A co do remontu, to znam kogoś odpowiedniego. Mój kumpel przeniósł tutaj z Oregonu część rodzinnej firmy budowlanej, właśnie teraz stawia Proboszczowi

przybudówkę. Pomagał mi wykończyć dom. Solidny fachowiec. Czekaj, znajdę wizytówkę.

Jack poszedł na zaplecze. Nie było go może minutę, kiedy do baru weszły dwie kobiety, przez które Luke nieomal dostał zawału serca. Dwie śliczne blondynki, jedna trzydziestoparoletnia, z kręconymi złotymi lokami, a druga, znacznie młodsza, z niesamowicie grubym, złotym jak miód warkoczem, który sięgał do pasa. Shelby... To ją uratował przed kąpielą błotną. Obie były w obcisłych dżinsach i wysokich butach. Starsza miała na sobie luźny, robiony na drutach sweter, zaś Shelby tę samą śnieżnobiałą koszulę co przedtem, z podwiniętymi rękawami, postawionym kołnierzykiem i zawiązaną w pasie. Usiłował się nie gapić, ale nie umiał się powstrzymać, tym bardziej że go nie zauważyły. Czyżby nie musiał jechać aż do Garberville?

Usiadły na stołkach przy barze w tej samej chwili, w której Jack wyszedł z zaplecza.

- Cześć, kochanie. - Nachylił się przez bar do starszej z blondynek i pocałował, wyjaśniając tym samym Luke'owi sytuację. - Poznaj nowego sąsiada. Luke Riordan. To Mel, moja żona, a to Shelby McIntyre, która ma tu rodzinę.

- Miło mi - powiedział Luke.

- Jest właścicielem posiadłości po Chapmanie, w tym starych domków letniskowych, które chce wyremontować. To były żołnierz, więc chyba pozwolimy mu zostać.

- Witaj - rzuciła Mel.

Shelby uśmiechnęła się do niego, opuściwszy lekko powieki. Dawał jej jakieś osiemnaście lat, wyglądała jak młoda dziewczyna. Gdyby wydała mu się starsza, nie omieszkałby wziąć od niej numeru telefonu, kiedy spotkali się na błotnym szlaku. Ani Eureka, ani Brookstone nie mogły się z tym równać, choć obie panie były poza jego zasięgiem. Mel to kobieta Jacka, a Shelby wciąż jest nastolatką. Bardzo seksowną nastolatką, pomyślał. Niemniej jednak stanowiły obietnicę czegoś więcej, bo skoro w byłe knajpce w Virgin River znalazły się aż dwie tak piękne kobiety, to w tych górach musi ich być całe mrowie.

- Bardzo proszę - powiedział Jack, przesuwając po barze wizytówkę. - Mój kumpel, Paul. Obecnie buduje jeszcze dom dla Brie, mojej młodszej siostry, i jej męża, tuż obok naszego. Plus dom dla siebie i swojej żony.

- A mojej kuzynki - dodała Shelby.

Luke uniósł pytająco brew.

- Vanessa, żona Paula, to moja kuzynka. Mieszka ją u mojego wuja Walta. Właśnie tam się sprowadziłam.

- Mel, chcesz piwo? - spytał Jack. - Shelby?

- Wypiję coś zimnego z Shelby, a potem uciekam, bo muszę zwolnić Brie z opieki nad dziećmi, żeby mogła zjeść kolację z Mikiem - odparła Mel. - Wpadłam tylko, żeby ci powiedzieć, gdzie będę. Dam dzieciakom jeść i położę je do łóżka. Przyniesiesz wieczorem kolację od Proboszcza?

- Oczywiście.

- A ja wracam do domu pomóc przy koniach - powiedziała Shelby. - Ale najpierw poproszę o piwo.

Aha, czyli ma co najmniej dwadzieścia jeden lat, pomyślał Luke. Chyba że Jack pozwala sobie na drobne łamanie prawa w swoim małym, leżącym z dala od cywilizacji barze, pomyślał kpiąco.

- To ja już będę leciał... - zaczął Luke.

- Zaczekaj do piątej, jeśli ci się nie śpieszy - powiedział Jack. - Wtedy przychodzą stali bywalcy. Idealna okazja, żeby poznać nowych sąsiadów.

Luke spojrział na zegarek.

- Mogę jeszcze trochę zostać.

Porozmawiał z Jackiem o remoncie baru, podczas gdy panie zajęły się własnymi tematami. Niespełna dziesięć minut później Jack oznajmił:

- Przepraszam cię, ale muszę odprowadzić żonę - i zostawił Luke'a przy barze w towarzystwie Shelby.

- Widzę, że się przebrałeś - zagadnęła.

- No tak, wypadło. Ładnie mnie urządziła.

- Nie podziękowałam ci za uratowanie ciuchów.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł, sącząc piwo.

- Widziałam te domki letniskowe. Lubię jeździć nad rzeką. Wyglądają naprawdę kiepsko.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Zachichotał. - Mam tylko nadzieję, że jeszcze się nie rozpadają.

- Wiesz, to stare budynki, z czasów, kiedy jeszcze używano materiałów dobrej jakości. Tak twierdzi moja kuzynka. Niektóre z tych starych domów trzymają się, jakby postawiono je z cegły. No więc... twoja rodzina też tu przyjedzie?

Zadane szybko i konkretnie pytanie zaskoczyło go. Podniósł wzrok znad piwa i z uśmiechem spojrział na Shelby.

- Nie. Matka i bracia mieszkają w różnych miejscach.

- Żony brak? - Kącik jej ust podniósł się leciutko razem z jedną z pięknych brwi.

- Żony brak - potwierdził.

- O, szkoda.

- Nie żałuj mnie tak bardzo. Lubię tak, jak jest.

- Samotnik?

- Nie. Facet bez żony. - Wiedział, że teraz jego kolej, by zapytać, czy ona kogoś ma, ale nie miało to dla niego znaczenia. Nie zamierzał brnąć w tym kierunku. To byłoby nierozsądne. A jednak spojrzał jej w oczy i spytał: - Przyjechałaś w odwiedziny?

- Mhm. - Pociągnęła łyk.

- Na jak długo?

- Sama jeszcze nie wiem. - Odstawiła do połowy pełny kufel i położyła przed Jackiem, który właśnie wrócił, kilka dolarów. - Dzięki. Muszę pędzić do koni.

- Shelby, czemu po prostu nie poprosiłaś o małe piwo? - zapytał Jack.

Wzruszyła ramionami i posłała mu uśmiech, po czym wyciągnęła rękę do Luke'a.

- Miło było cię znowu spotkać. Do następnego.

- Jasne. - Ścisnął jej dłoń, a potem patrzył za nią, jak wychodziła. Wcale nie chciał śledzić jej wzrokiem, ale pokusa była nie do odparcia. Kiedy znów spojrzał na Jacka, ten uśmiechnął się pod nosem i zakrzętnął za barem.

Przed siódmą Luke poznał Proboszcza, Johna dla żony i pasierba. Poznał Paige, żonę Proboszcza, Brie, młodszą siostrę Jacka, i jej męża, Mike'a, a także ponownie ujrzał Doka Mullinsa. Spędził trochę czasu z nowymi sąsiadami. Posilił się najlepszym łososiem, jakiego w życiu jadł, wysłuchał plotek i powoli zaczął się czuć jak jeden ze „swoich”. Gdy tak siedział przy barze, ludzie wchodzili i wychodzili, zamawiali drinki i jedzenie, pozdrawiali Jacka i Proboszcza jak starych druhów.

Do baru weszła kolejna para, a mianowicie budowlaniec Paul Haggerty i jego żona Vanessa.

- Jack do mnie przekręcił - oznajmił Paul - i powiadomił, że mamy nowego sąsiada.

- Za dużo powiedziane - odparł Luke. - Nawet jeszcze nie zajrzałem do domu.

- To twoja przyczepa? - zapytał Paul.

- Na wszelki wypadek - wyjaśnił Luke ze śmiechem. - Gdyby dom okazał się niezdatny do użytku, nie będę musiał spać w aucie.

- Daj znać, jeśli zechcesz, żebym go obejrzał.

Luke przesiedział w knajpie znacznie dłużej, niż początkowo zamierzał. Kiedy przyjaciele Jacka rozchodzili się, życząc mu dobrej nocy, Luke został, żeby wypić filiżankę kawy z właścicielem. Stwierdził, że w miasteczku mieszkają bardzo mili

ludzie. Był zaszokowany kobietami. Mógł zrozumieć, że Jackowi udało się znaleźć taką piękność w Virgin River, ale miał wrażenie, że wspaniałe kobiety otaczają go zewsząd. Shelby, Paige, Brie i Vanessa, wszystkie były uderzająco atrakcyjne. Miał nadzieję, że w następnym miasteczku trafi przynajmniej na większą różnorodność.

- Pewnie będziesz chciał poznać teścia Paula, Walta - odezwał się Jack. - To emerytowany wojskowy.

- Tak? Shelby coś wspominała.

- Trzy gwiazdki. To ten Walt, wuj Shelby.

- O rany, ma generała za wuja...

- Naprawdę miły gość.

- Ile ona ma lat? Osiemnaście? Pewnie jeszcze nie skończyła szkoły.

Jack zachichotał.

- Jest trochę starsza, szkołę też skończyła, ale fakt, wygląda bardzo młodo. Ładniutka, co?

Trudno nie zauważyć, pomyślał Luke, po czym dodał:

- Wystarczyło jedno spojrzenie na nią i miałem wrażenie, że zaraz mnie aresztują. - Gdy Jack wybuchnął śmiechem, spytał: - Niebezpieczna panienka, nie? Młoda, słodka i mieszka z trzygwiazdkowym generałem.

- Niby tak, ale już nie jest małąlatą. Powiedzi-
ałbym nawet, że nieźle wyrosła.

- Dobra, dobra, nie wnikajmy.

- Jak sobie życzysz - podsumował Jack.

Luke wstał, położył pieniądze na blacie
i powiedział:

- Dzięki, Jack. Naprawdę nie spodziewałem się
takiego powitania. Cieszę się, że zanim pojechałem
do domu, wstąpiłem do miasteczka.

- Daj znać, jeśli będziesz potrzebował pomocy.
Miło, że do nas przyjechałeś, żołnierzu. Spodoba ci
się tutaj.

ROZDZIAŁ DRUGI

Sheridanowie zwykle jadali kolację w barze, nierzadko wspólnie z przyjaciółmi, po czym Jack wyprawiał rodzinę w drogę do domu, żeby Mel mogła położyć dzieci spać, a sam zostawał na posterunku i obsługiwał klientów aż do zamknięcia lokalu. Tego wieczoru Mel bardzo się śpieszyła, bo nie chciała nadużywać uprzejmości Brie, która była z dziećmi. Jack zamknął bar odrobinę wcześniej i zaniósł kolację do domu.

Nadal zdumiewało go, jak wielką czuł satysfakcję, wracając do rodziny. Trzy lata wcześniej był jeszcze kawalerem, który mieszkał w pokoju przylegającym do baru, kompletnie niezainteresowanym zakładaniem podstawowej komórki społecznej. A teraz nawet nie wyobrażał sobie innego życia. Co dziwniejsze, na tym etapie jego uczucia do żony mogły przedzierzgnąć się w stan samozadowolenia, a mimo to namiętność i miłość do niej pogłębiały się z każdym dniem. Mel owinęła go sobie wokół palca, posiadała ciałem i duszą. Nie miał pojęcia, jakim cudem udało mu się tak długo bez tego przeżyć. Nie rozumiał, dlaczego inni

mężczyźni tego unikali. I w końcu pojął przyjaciół, którzy od lat wiedli takie życie.

Ot, proza życia: posiłek przy kuchennym stole, rozmowa o budowie w barze, ktoś nowy pojawił się w miasteczku, Shelby zamieszkała u generała, ale myśli o studiach... Dla Jacka ta proza stanowiła najważniejszą część dnia, kiedy to miał Mel wyłącznie dla siebie, nie musiał się nią dzielić z dziećmi leżącymi już w łózkach.

Sprzątnąwszy naczynia, Mel poszła wziąć prysznic, natomiast Jack rozpałił ogień w komiku w sypialni, bo noce zaczęły robić się chłodne. W górach jesień przychodziła wcześniej. Następnie obszedł budynek, zbierając śmieci, które rano wywiezie do miejskiego kontenera. Stanąwszy w kuchennych drzwiach, zdjął buty, a przechodząc przez pralnię, ściągnął koszulę i skarpetki i zostawił je na pralce. Zanim wrócił do sypialni, szum prysznica ucichł. Powiesił pasek w szafie i poszedł do łazienki.

Gdy wszedł do środka, przyłapał Mel stojącą przed lustrem. Szybko opasała się ręcznikiem. Kiedy spojrzeli sobie w oczy, dostrzegł w jej spojrzeniu poczucie winy.

- Melindo, co robisz? - zapytał, rozpinając spodnie, by zaraz wskoczyć pod prysznic.

- Nic. - Odwróciła wzrok.

Zmarszczył brwi i podszedł do niej. Podniósł jej brodę i popatrzył w oczy.

- Zastaniasz się? Przede mną? - zapytał zdziwiony.

- Jack, ja flaczeję. - Nerwowo poprawiła rękawk.

- Słucham? - spytał rozbawiony. - O czym ty mówisz?

Odetchnęła głęboko.

- Cycki mi opadają, tyłek osuwa się na uda, mam brzuch jak donica, a jakby tego było mało, przez te wszystkie rozstępy wyglądam jak balon, z którego zeszło powietrze. - Położyła dłoń na jego twardej jak skała klatce piersiowej. - Masz osiem lat więcej ode mnie, a jesteś w doskonałej formie.

- Myślałem, że zastaniasz tatuaż albo co. Mel, pamiętaj, że urodziłaś dwójkę dzieci, i to rok po roku. Emma ma zaledwie kilka miesięcy. Daj sobie trochę czasu, dobrze?

- Nic nie poradzę, że tęsknię za moim dawnym ciałem.

- No, no... - Otoczył ją ramieniem. - Jeśli zaczynasz tak mówić, to znaczy, że kiepsko się staram.

- Ale to prawda - odparła, opierając głowę na jego piersi.

- Mel, przecież z każdym dniem piękniejesz. Uwielbiam twoje ciało.

- Nie jest takie, jakie...

- Aha, ale jest lepsze. - Pociągnął za ręcznik, ale nie puściła. - Daj spokój. - Wreszcie zabrała rękę. - Ach, niesamowite, niewiarygodne ciało. Każdego dnia coraz bujniejsze. Nie sposób mu się oprzeć.

- Nie mówisz serio...

- Ależ tak. - Pocałował ją, jedną dłoń kładąc na piersi, a drugą delikatnie przesuając po plecach w kierunku pośladków. - To ciało dało mi tak wiele, po prostu je uwielbiam. - Podniósł lekko jej pierś. - Popatrz.

- Nie mogę patrzeć...

- Popatrz, Mel. Spójrz w lustro. Kiedy widzę cię nagą, wprost zapiera mi dech w piersiach. Z każdą zmianą stajesz się lepsza, bardziej apetyczna. Jak mógłbym nie podziwiać ciała, które wydało na świat moje dzieci? Dałaś mi tak dużo rozkoszy, że aż czasem mi się zdaje, jakbym tracił zmysły. Kochanie, jesteś doskonała.

- Ważę dziesięć kilo więcej, niż kiedy się poznaliśmy.

- To co teraz nosisz? - spytał ze śmiechem. - Czwórkę?

- Co ty tam wiesz... Wyżej niż czwórkę. W rejonach dwucyfrowych...

- Boże, patrzysz na to z góry... - przewrócił oczami. - Dziesięć kilo więcej dla mnie do pieszczenia.

- A co, jeśli wciąż będę tyła?

- Czy te kilogramy to cała ty? Bo ja kocham ciebie, Mel. Kocham twoje ciało, bo ono jest tobą. Rozumiesz to, prawda?

- Ale...

- Gdybym stracił nogi w wypadku, czy przestałabyś mnie kochać i pragnąć?

- Oczywiście, że nie! To nie to samo!

- Nie jesteśmy tylko ciałem. Mieliśmy szczęście, że trafiło nam się takie, jakie się trafiło, ale to nie wszystko.

- To mój opięty dzinsami tyłek zwrócił twoją uwagę...

- Moja miłość do ciebie sięga znacznie głębiej, o czym przecież wiesz, kochanie. Ale - uśmiechnął się - nadal wyglądasz powalająco w tych dzinsach. Nawet jeśli faktycznie zyskałaś dziesięć kilo, to musiały się rozłożyć we właściwych miejscach.

- Zastanawiałam się, czy nie poprawić sobie brzucha.

- Co za bzdura. - Złożył na jej ustach namiętny pocałunek, błędząc dłońmi po jej nagich plecach. Aż wreszcie Mel całkiem mu się poddała. - Kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy, pomyślałem, że nigdy wcześniej nie było mi tak dobrze. Najwspanialsze doświadczenie w moim życiu. Nie sądziłem, że może być jeszcze lepiej, ale jest. Za każdym razem lepiej i mocniej niż poprzednio.

- Przestanę jeść te tłuste dania Proboszcza - powiedziała, z trudem łapiąc powietrze. - Będę go namawiała, żeby zaczął robić sałatki.

Wziął ją za rękę i położył sobie jej dłoń na brzuchu, zsuwając niżej.

- Już nie mam czasu na prysznic... - Przyłgął ustami do jej szyi. - Chyba że chcesz tam wrócić ze mną.

- Jack...

- Wiesz, jak bardzo cię pragnąłem tej pierwszej nocy? - wyszeptał z ustami wciąż przy jej szyi. - Od tamtej pory wciąż pragnę cię jeszcze bardziej. Chodź. - Uniósł Mel. - Pokażę ci, jaka jesteś piękna. - Położył ją delikatnie na pościeli i ukląkł nad nią, otaczając ramionami. - Rozpalić w twoim kominku? - zapytał ze śmiechem.

Przesunęła dłońmi po jego biodrach, zsuwając mu spodnie.

- Jack, kiedy przestanę być dla ciebie atrakcyjna, powiesz mi o tym, prawda? Proszę. Żebym miała czas, by coś z tym zrobić.

Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Jeśli kiedykolwiek do tego dojdzie, na pewno ci o tym powiem. - Pocałował ją raz jeszcze. - Boże, jak cudownie smakujesz.

- Ty też całkiem nieźle - szepnęła, zamykając powieki.

- Jakieś specjalne życzenia?

- Wszystko co robisz, jest specjalne.

- A więc pełny serwis...

Kiedy późną nocą Luke zajechał pod dom, musiał wygrzebać wielką latarkę, żeby sobie poświecić, jako że prąd odcięto rok wcześniej, zaraz po śmierci starego Chapmana. Luke dostrzegł zarys czarnego jak smoła budynku, a także paru domków z oknami zabitymi deskami i odpadającym gontem. Tyle pierwszych wrażeń, nim rano obejrzy wszystko dokładniej.

Lecz szum rzeki był niesamowity. Cóż za wyśmienita lokalizacja. Tak bardzo spodobało mu się to miejsce, gdy zobaczył je po raz pierwszy. Rzeka, pohukiwanie sów, wiatr gwizdzący między sosnami, od czasu do czasu gęganie gęsi

i kwakanie kaczek. Chociaż było zimno, postanowił wyciągnąć dodatkowy koc i spać przy otwartym oknie w przyczepie kempingowej, żeby słyszeć rzekę i nocne leśne odgłosy.

Wraz z pierwszymi promieniami słońca włożył dzinsy i buty i wyszedł, aby przywitać różowy, rześki, wilgotny poranek. Spojrzawszy w dół skarpy, ujrzał wody rzeki przewalające się przez naturalne wodospady, gdzie jesienią łososie będą skakały pod prąd, składając ikrę. Na drugim brzegu cztery jelenie korzystały z wodopoju. A dom i domki letniskowe wyglądały jak z koszmaru. Jak przyszcz burzący piękno tego krajobrazu.

Tego się spodziewał. Mnóstwo pracy do zrobienia, ale wielki potencjał. Oczywiście mogłby sprzedać posiadłość za cenę ziemi, ale to byłby kiepski interes. Natomiast jeśli wyremontuje budynki, negocjacje z potencjalnym nabywcą zaczną się od nieporównywalnie wyższych kwot.

Musiał mądrze zaplanować kolejny ruch.

Cały czas kołatał mu się w głowie inny pomysł na życie. Przecież ze swoimi kwalifikacjami łatwo znajdzie pracę jako pilot śmigłowca w stacji telewizyjnej, w pogotowiu czy w firmie transportowej.

Tyle że położony nad rzeką skrawek ziemi jawił mu się niczym biblijny raj... czy też obietnica raj.

Odetchnął głęboko i zabrał się do pracy.

Najpierw dokonał inspekcji domu. Ganek okazał się duży i całkiem ładny, ale należało go wzmocnić, oszlifować i pomalować. Drzwi się zacięły, więc musiał otworzyć je siłą, przy okazji szczerbiąc kilka zbutwiałych desek przy ościeżnicy. W środku panował potworny brud, bo dom nie dość, że został zapuszczony przez starego Chapmana, to po jego śmierci zrobiły tu sobie legowisko dzikie zwierzęta. Luke usłyszał tupot i zobaczył odciski łap na zakurzonej podłodze. Musiało być tu mnóstwo myszy i szopów, pewnie też oposów. Oby tylko w tym domu nie zamieszkał niedźwiedź. W każdym razie Luke już wiedział, że nadal przyjdzie mu nocować w przyczepie.

Zapach również nie należał do najprzyjemniejszych. Wszystko zostawiono w takim stanie, w jakim znajdowało się w dniu śmierci Chapmana, nawet łóżko było wygniecione, jakby przed chwilą z niego wstał. Podłogę zaścierały brudne ubrania. W kuchni Luke znalazł zgniłe, stare jak świat jedzenie. Wszystkie meble stały na swoim miejscu, jednak były zniszczone, zatęchłe i poplamione. Sprzęt kuchenny także był wiekowy, a przed odcięciem prądu lodówka pewnie ani razu nie widziała

środków czyszczących. Nasiąkła smrodem, którego jakoś trzeba będzie się pozbyć.

Przez drzwi frontowe wchodziło się prosto do obszernego salonu z nieźle zachowanym kamiennym kominkiem. Na lewo była duża pusta jadalnia, oddzielona od kuchni zapadniętym barkiem. Kuchnia była na tyle duża, że zmieściłby się w niej stół z czterema krzesłami lub też można by wydzielić duży aneks.

Naprzeciwko wejścia znajdował się krótki korytarz, z którego wchodziło się po jednej stronie do dużej łazienki z ustawioną centralnie wanną, a po drugiej do pomieszczenia gospodarczego. Na wprost była sypialnia. Brakowało szafy w zabudowie, ale to przecież dom w starym stylu. Staruszek zostawił po sobie wielkie komody i szafy. Drewniane łóżko ozdobione czterema słupkami także imponowało rozmiarami. Luke'owi meble nie przypadły do gustu, ale stwierdził, że skoro zbudowano je z solidnego, ciężkiego, trwałego jesionu, to pewnie przedstawiały pewną wartość.

Wrócił do salonu, skąd na piętro wiodły schody. Wszedł po nich ostrożnie, bojąc się spróchniałych stopni. Na górze było ciemno. O ile dobrze pamiętał, mieściły się tu dwie spore sypialnie, brakowało jednak łazienki. Gdy znów usłyszał

tupot małych łapek, zbiegł na dół. Na pięterko zajrzy ponownie, kiedy deratyzator zrobi swoje.

Stojąc pośrodku salonu, podsumował, co zobaczył. Dobra wiadomość była taka, że najpewniej nie trzeba będzie wybebeszać całego domu i całkiem go przebudowywać, by można było tu zamieszkać. Gorzej, że robota będzie nie tylko ciężka i czasochłonna, ale i wymagająca sporych nakładów finansowych. Żadne meble, poza jesionowymi z sypialni, nie nadawały się nawet na dar dla ubogich. Podłogę należało wyremontować, szafki w kuchni zdemontować i wymienić, zainstalować nowe blaty, zerwać tapetę i parapety, usunąć drzwi i framugi. Listwy przypodłogowe oszlifować i polakierować, a może po prostu wymienić na nowe. Do tego wywózka śmieci i walka z insektami oraz gryzoniami. Tym akurat może zająć się sam, oczywiście z pomocą deratyzatora. Później sprawdzi dach.

Wyszedł z domu i otworzył drzwi prowadzące do pierwszego domku letniskowego. Ta sama historia. Spróchniałe meble, pobjowisko na podłodze. Wszystkie domki składały się z jednej izby, od lat nieużywanej. Piecyki i lodówki były bardzo stare i zapewne już nie działały. Luke znał się na drewnie i malowaniu, ale wołał nie tykać gazu

i elektryczności. Spojrzał na sześć pustych domków, z których każdy wymagał bojlera, piecyka, lodówki i mebli. Będzie musiał sprawdzić, w jakim stanie są dachy, choć już z dołu widział, że brakowało wielu gontów. Ściany wymagały oszlifowania, polakierowania i pomalowania. Wszystkie okna nadawały się tylko do wymiany.

Oszacował siły i zamiary. Był prawie wrzesień. Między styczniem a czerwcem, kiedy zjawiają się pierwsi wczasowicze, w tej części świata czas płynie powoli i w mokrej szarówce. Gdyby do wiosny udało się doprowadzić domki do porządku, mógłby wystawić je na sprzedaż lub wynająć letnikom. Gdyby zaś się okazało, że do tego czasu znudzą mu się góry, zwinie interes i ruszy albo do San Diego, gdzie stacjonował jego brat Aiden i gdzie było mnóstwo słonecznych plaż oraz dziewczyn w skąpych strojach kąpielowych, albo do Phoenix, gdzie mieszkała owdowiała matka, która z wdzięcznością powitałaby syna. Wszędzie znajdzie pracę jako pilot.

Odczepił przyczepę kempingową, z pikapu zdjął harleya i postawił go przed domem. Włożył rękawiczki robocze, chwycił za miotłę oraz szufłę i zaczął sprzątać dom. Postanowił wyładować samochód śmieciami, których pozbędzie się, gdy pojedzie do

Eureki, gdzie zamierzał załatwić podłączenie mediów, umówić się z deratyzatorem i wynająć kontener.

Słońce mocno grzało, więc Luke pracował rozebrany do pasa. Właśnie wrzucał na pakę pikapu wielki trzynogi fotel, kiedy ją zobaczył. Zastygł z meblem nad głową.

Przyjechała tu na pięknym, dorodnym srokaczu. Zatrzymała się na polanie, uśmiechając się do Luke'a. Czysta słodycz, czysta niewinność. Nie był w stanie się poruszyć. Miała na sobie szorty w kolorze khaki, kowbojki, białą koszulkę z krótkim rękawem i kamizelkę wędkarską w kolorze khaki. Stetson dodawał jej dziewczęcego uroku, a wymykający się spod niego gruby blond warkocz sprawiał, że wyglądała na piętnaście lat. Była drobna, lecz figurę miała bardzo kobiecą. Pomyślał, że gdyby odważył się wobec niej na... cokolwiek, będzie to wbrew prawu, zaraz też poczuł na karku ciężar swoich trzydziestu ośmiu lat.

Koń tańczył, ubijał kopytami ziemię, parskał i przekrzywiał łeb, ale mała kowbojka zdawała się tego nawet nie zauważać. Pewnie siedziała w siodle, sprawnie radziła sobie z wierzchowcem.

- Musiałam to zobaczyć na własne oczy - powiedziała z uśmiechem. - Naprawdę zaatakowałeś ten bałagan. Wow! Trochę się napracujesz.

Wrzucił fotel na pakę i wyjął z kieszeni szmatę, żeby obetrzeć spocone czoło.

- Owszem, roboty jest mnóstwo, ale jak się rozejrzysz uważnie, to może zrozumiesz, jaki potencjał ma ta posiadłość. Jak tu wpadniesz za kilka miesięcy, sama się przekonasz.

- Już jestem pod wrażeniem. Potężna robota, ale widzę jej sens. Możesz tu zrobić kawałek turystycznego raju, jeśli ktoś lubi spędzać urlop blisko natury. W moich stronach, na plaży, też były takie stare domki. Kiedy byłam nastolatką, stały puste, więc dzieciaki włamywały się, żeby palić trawę i... robić inne rzeczy. A pewnego dnia zniknęły, po prostu zostały starte z powierzchni ziemi.

- Kiedy byłaś nastolatką... czyli w zeszłym tygodniu?

- Ej! - Roześmiała się. - Dziesięć lat temu.

- W takim razie w ogóle się nie starzejesz.

- Czemu po prostu nie spytasz? - rzuciła wyzywająco.

- Okej. Więc ile masz lat?

- Dwadzieścia pięć. A ty?

- Sto dziesięć.

Znów się roześmiała. Odrzuciła do tyłu głowę, warkocz na jej plecach zafalował.

- Wiedziałaś, że jesteś stary, ale żeby aż tak?

- Trzydzieści osiem. Nie twoja liga.

- To zależy. - Wzruszyła ramionami.

- Od czego?

- Od tego, czy akurat gram w jakiejś lidze.

O Boże, pomyślał, spodobałem się jej. To nie było zwykle przekomarzanie, ale prawdziwy flirt. Nie powinien w to wchodzić, ale cóż... Luke nie należał do tych facetów, którzy twardo kroczą ścieżką cnoty, nie dręczyły go skrupuły. Do tego w pewnych sytuacjach dość słabo panował nad sobą. Cóż, Shelby nie powinna go tak kusić...

- Nieźle sobie radzisz z tym koniem. Ładny srokacz.

- Nazywa się Chico - wyjaśniła. - Ogier. Wuj Walt przygarnął go, kiedy Chico był źrebakiem. Po tej szkole, którą przeszedł, powinien być bardziej posłuszny, ale wiesz, jak to jest z końmi.

- Wiele razy przelatywałem nad stadami dzikich koni na pustyni. Niesamowite stworzenia.

- Jeździsz konno? - zapytała.

- Od lat nie siedziałem w siodle.

- Wędkujesz?

- Jeśli trafi się okazja. Polujesz?

- Nie. - Aż się wzdrygnęła. - Nie potrafiłabym zabić zwierzęcia, za to strzelałam do rzutek i jestem w tym całkiem niezła. Ostatnio sporo pracuję w ogrodzie i niańczyę dzieci. No i dużo czytam.

- Co tu robisz? - zapytał, podchodząc bliżej.

- Przyjechałam do Virgin, by spędzić trochę czasu z rodziną przed powrotem na studia. Wuj Walt, siostra cioteczna Vanessa, jej mąż Paul, ten budowlaniec, i brat cioteczny Tom, to cała moja rodzina. Tom jest na obozie przygotowawczym przed studiami w West Point, niedługo dostanie przepustkę.

- Nie chodzi mi o Virgin River - sprostował z uśmiechem. - Co robisz tutaj? Sprawdzasz mnie?

- Nie pochlebiaj sobie. Sprawdzam domki letniskowe. - Odwzajemniła uśmiech. - W zeszłym roku latem kilka razy tędy przejeżdżałam. Naprawdę sądziłam, że je wyburzą. Nie łatwiej wybudować nowe?

- Pewnie łatwiej, ale nie taniej. Poza tym potrzebuję jakiegoś zajęcia.

- Dlaczego? Wyrzucili cię z pracy?

- Odszedłem z wojska.

- Jak mój wuj! - Uniosła brwi.

- Nie, nie jak twój wuj. Jako chorąży, pilot śmigłowca. Jack mówił, że twój wuj jest emerytowanym generałem z trzema gwiazdkami. To zupełnie inna bajka.

- Pamiętaj, że przeszedł na emeryturę. - Znow uśmiechnęła się i zarumieniła przy tym. - Już nie dowodzi.

Zauważył zaróżowione policzki. To jasne, że miała ochotę na flirt, ale nie była w tym naturalna. Mógłby ułatwić sprawę, przecież umiał sprawić, by kobieta poczuła się swobodnie. Lubił to.

Zalała go fala czystego pożądania. Skarcił samego siebie, starając się zdusić ją w zarodku. Powiedziała, że ma dwadzieścia pięć lat, ale w każdym innym barze, nie u Jacka, poproszono by ją o okazanie dowodu tożsamości. Sięgnął po koszulę wiszącą na ganku.

- Nie musisz - powiedziała. - Już znikam. Byłam w okolicy, więc tylko wpadłam zobaczyć, jak posuwa się twoja robota.

- Fakt. Jesteśmy sąsiadami. - Włożył koszulę, choć jej nie zapiął. - Powinienem wracać do pracy, chyba że czegoś potrzebujesz.

- Nie... Na pewno spotkamy się u Jacka.

- Jedyne miejsce, gdzie dają piwo, więc jasna sprawa.

- No to powodzenia. - Gdy zebrała wodze, Chico stanął dęba, gotów wyrwać się galopem. - Na razie! - Pognała ku rzece.

Patrzył za nią. Kiedy przedarła się przez gęsty zagajnik, pochyliła się i popędziła tak szybko, że jej warkocz unosił się w powietrzu.

No to wpadłem, pomyślał Luke.

Cudownie i seksownie zbudowana, czuła się w siodle zupełnie naturalnie, a jej zgrabny tyłeczek intrygująco poruszał się w takt biegu konia. Wielkie nieba, co mi chodzi po głowie? - ofuknął się w duchu. Shelby nie mogła wiedzieć, jak wielkie wrażenie wywarła na nim, piękna, drobna i pełna pokus, gdy zjawiła się na wielkim rumaku. Największy błąd, od którego popełnienia dzielił go zaledwie krok. Ale cóż, tak bardzo chciałby wziąć ją w ramiona. Zaczął się modlić o rozwagę i umiar przy tej wspaniałej kobiecie.

Shelby pędziła do domu, zastanawiając się, dlaczego Luke uznał, że z nim flirtowała. Przecież w ogóle nie był w jej typie. Poza tym miała swoje plany, i tylko one się liczyły. Oczekując informacji o przyjęciu na uczelnię, zamierzała wybrać się w podróż. Sama. Była tak cudownie podniecona, gdy pewnego lata wybrała się na Wschodnie

Wybrzeże, do dziś też wspominała cudowną wyprawę do Europy na zaproszenie kuzynostwa. Ale nigdy nie była na Karaibach, w Meksyku, we Włoszech, Francji, Japonii... Marzył jej się długi rejs albo włóczęga po Włoszech i południowej Francji, lub też wyjazd do Cabo San Lucas. Kiedy już naładuje baterie, będzie gotowa wrócić na studia. Zatrudni się gdzieś na pół etatu i zapisze na kilka wakacyjnych kursów jeszcze przed oficjalnym rozpoczęciem roku akademickiego, by wczuć się w uczelniany klimat.

Samotna podróż... A może pozwoli sobie na małą przygodę? Oczywiście, nie z takim facetem. Luke był zbyt dojrzały, to raz. Wiedział wszystko o życiu, o mężczyznach i kobietach, podczas gdy ona wiedziała tak mało. Był niebezpieczny, wyczuła to od razu, i kierował się zmysłowymi impulsami. Aż ciarki przechodziły jej po plecach. Wyglądał jak jakiś wojownik, nawet miał tatuaże.

Aż zadrzała, gdy zobaczyła półnagiego Luke'a, szczęśliwie siedziała na ogromnym koniu, co dodało jej pewności siebie. Ramiona Luke'a były szerokie i mocno umięśnione, a na lewym bicepsie kazał wytatuować opaskę z drutu kolczastego. Brzuch miał gładki i twardy, pokryty meszkiem znikającym w dzinsach. Szczecina porastająca

szczękę sprawiała, że uśmiech wydawał się kpiący, może nawet szyderczy, a już na pewno hultajski. Aż dostała gęziej skórki. Otaczała go aura beztroski. Taki ktoś weźmie, na co ma ochotę, a potem porzuci, zapominając już następnego ranka.

Lecz gdy Shelby tak go lustrowała, czuła ogarniające ją ciepło. Bo w Luke'u było coś takiego... coś zakazanego, co kusilo zapowiedzią niezwyklej przygody, tajemniczym smakiem. Czyżby, na przekór zdrowemu rozsądkowi, w tym mężczyźnie było coś aż tak wyjątkowego, że warto by zażytkować przygodę? Chwilkę zapomnienia? Zaraz jednak uznała w duchu, że nie, absolutnie nie! Jej przygoda będzie ubrana w koszulkę polo, będzie miała policzki gładkie jak pupcia niemowlaka, modną fryzurę, żadnych tatuaży i wyższe wykształcenie. Za nic nie chciała przerażającego pilota Black Hawka, który zdobył doktorat z numerków na jedną noc!

Gdy Mel wpadła do kuchni w barze, Proboszcz stał odwrócony tyłem z dłońmi zanurzonymi w zlewie.

- Ej, Prob. - Gdy się nie odwrócił, powtórzyła głośniej: - Proboszcz! - Znów nic. - John! - wrzasnęła.

Podskoczył zaskoczony, odwrócił się do niej i wyjął zatyczki z uszu.

- Mel, nie skradaj się tak - powiedział.

- Nie skradałam się. Musiałam na ciebie krzyknąć.

- Wiesz, od tego hałasu pęka mi głowa. Poszedłbym na ryby, ale mam jeszcze sporo roboty.

- Posłuchaj... - Usiadła na stołku. - Musimy pogadać.

- Jasne.

Odetchnęła głęboko.

- Od kiedy tu przyjechaliśmy, przytyłam dziesięć kilo. Prawie pięć rocznie. Jak skończę czterdziestkę, będę ważyła sto kilo.

Zmarszczył brwi. Nie bardzo wiedział, co powinien powiedzieć, aż w końcu odparł z uśmiechem:

- To chyba dobrze, nie?

- Dobrze?! Wcale nie jest dobrze! - Aż podskoczył na tę jej pełną złości odzywkę, a potem znowu zmarszczył czoło, spróbowała więc perswazyjnego tonu: - Słuchaj, Prob, musisz zacząć gotować mniej tuczaco. Rozumiesz?

- Nikt się nie skarżył na moją kuchnię, Mel. Smakuje dobrze...

- Sama tak uważam, ale pamiętaj, że gotujesz dla mężczyzn pracujących fizycznie. - Zlustrowała go wzrokiem. - Stoisz w kuchni cały dzień i na pewno wszystkiego próbujesz, ale nie tyjesz. Jakim cudem?

- Dużo sprzątam, a także podnoszę ciężary, chociaż z dwójką dzieciaków to już nie to samo.

- No tak, twoje kalorie idą w mięśnie. Ale wiesz, John, kobiety są inaczej zbudowane, nie mają takiej muskulatury. Musisz używać mniej śmietany i masła, no, tego typu produktów. Zresztą i tak nie są zdrowe, rozumiesz, waga, cholesterol, ciśnienie, źle działają na serce. Rób sałatki, więcej warzyw, ale niech nie pływają w maśle. Przecież nie mogę być jedyną osobą w tym mieście, która tyje na twojej kuchni.

- Sałatki? Nie robię sałatek.

- Wiem o tym. - To była trudna, męcząca rozmowa. - Ale musimy wprowadzić pewne zmiany, drobne, ale jednak. Kup na kanapki jakieś nieetuczające, pełnoziarniste pieczywo. Nie gotuj tyle makaronu. Podawaj mniej chleba i ziemniaków. Rób sałatki, kupuj świeże owoce.

- Przecież mamy mnóstwo owoców - zaprotestował.

- Owszem, w plackach.

- Prawie codziennie jesz placki i co, jesteś przeciw? - Spojrzał na nią zdumiony. - Przecież je uwielbiasz, najbardziej ze wszystkich.

- Uwielbiam, to prawda. - Skrzywiła się. - Ale skończę z tym. To co, możesz przygotowywać lżejsze posiłki? Proszę. Bo jeśli nie, to przestanę tu jadać. Będę zabierała lunch z domu i sama przyrządzała kolacje. To szaleństwo musi się skończyć. Nie mogę tak tyć. Nie będę gruba!

Proboszcz dumiał przez chwilę, uważnie patrząc na Mel, wreszcie spytał niepewnie:

- Jack narzekał na twój wygląd?

- Jasne, że nie! - odparła, nie kryjąc frustracji. - Uważa, że wyglądam doskonale.

- Więc sama widzisz...

- John, ty mnie chyba nie słuchałeś. Muszę przejść na dietę. Chcesz, żebym ci zapisała, czego potrzebuję?

- Nie - odparł urażony. - Przecież wiem, co to dieta.

- Dzięki. Proszę cię tylko o pomoc, o nic więcej.

- Chcemy, żebyś była zadowolona - powiedział, ostrożnie dobierając słowa.

- Dzięki temu będę. - Zsunęła się ze stołka. - Dzięki, to wszystko.

Gdy poszła, Proboszcz dumiał przez dłuższą chwilę, a potem poszedł do pracujących przy budowie robotników. Jack też tam był, rozmawiał z Paulem. Obaj mieli na głowach kaski. Proboszcz nie chciał im przerywać, więc czekał cierpliwie, aż wreszcie go zauważyli. Paul westchnął, po czym podniósł leżący na ziemi kask i podał go Proboszczowi.

- Ile razy mam ci powtarzać, że nie wolno tu przebywać z gołą głową?

- Tak, jasne. - Proboszcz próbował włożyć kask, był jednak zbyt mały, więc zatrzymał się na czubku głowy.

- Stawiamy szkielet piętra. - Paul skrzywił się. - Przez ten swój wielki łeb sam się prosisz o wypadek.

- Spoko, rozumiem. - Proboszcz spojrział na Jacka. - Słuchaj, Mel była u mnie. Skarżyła się na jedzenie.

- Co? Mel?

- No tak. Mówi, że tyje od mojego gotowania.

- Ach, to... - Jack był wyraźnie rozbawiony. - W domu też coś marudziła. Nie przejmuj się tym.

- Hm... To nie zabrzmiało tak, żebym miał się tym nie przejąć. Wręcz przeciwnie, ona mówiła serio.

- W krótkim czasie urodziła dwoje dzieci, potem wycięto jej macicę. Poza tym, choć nie cierpi, gdy się jej o tym przypomina, starzeje się. Wszyscy się starzejemy, ale kobiety stają się wtedy bardziej upierdliwe.

- Skąd o tym wiesz?

- Cztery siostry - odparł Jack. - Kobiety wciąż się martwią rozmiarami cycków i tyłka. I udami, o nich też często marudzą.

- Nawrzeszczała na mnie - powiedział Proboszcz jakby trochę wystraszony, czym jeszcze bardziej rozbawił Jacka. - Powiedziałaś jej to? No, że kobiety z wiekiem stają się upierdliwe?

- Czy ja wyglądam na kogoś, kto chciałby wydać na siebie wyrok śmierci? Poza tym moim zdaniem ona wcale nie tyje, choć moje zdanie niewiele się liczy.

- Chce sałatek. I świeżych owoców.

- To takie trudne do zrobienia?

- Nie - Proboszcz wzruszył ramionami. - Ale czy ja jej każę, by codziennie zżerała mój placek? I nie zawsze zadowala się tylko jedną porcją. - Paul parsknął śmiechem, Jack też był daleki od powagi, jednak Proboszcz jakby tego nie widział, tylko

mówił dalej: - Mel mówi, bym używał mniej śmietany i masła, bo wtedy jedzenie jest mniej kaloryczne. Ale Jack, to już nie będzie ten sam smak. Nie da się zrobić sosu bez mąki, masła, tłuszczu, śmietany. Ludzie to uwielbiają. Łosoś w sosie koperkowym, makaron z serem, faszerowany pstrąg, żeberka z czosnkiem. Potrawki z sosem. Ludzie przyjeżdżają z daleka, żeby zjeść, co ugotują.

- Wiem, Prob. Nie musisz wszystkiego zmieniać, ale zrób coś, żeby Mel była zadowolona, okej? Jakąś sałatkę, grillowaną pierś kurczaka, rybę bez sosu, coś w tym guście. Wiesz, co robić. Zgoda?

- Oczywiście. Myślisz, że ona chce, żeby wszyscy w mieście przeszli na dietę? Bo powiedziała, że nie gotuję zdrowo.

- Co ty, tak się tylko mówi, ale jak chcesz, żeby przestała ci suszyć głowę, daj jej sałatkę. - Uśmiechnął się. - I jabłko zamiast placka.

Proboszcz pokręcił głową.

- A ja myślę, że cokolwiek zrobię, i tak będzie marudziła.

- Przecież mówiła, że tego chce, tak?

- No tak.

- Niech więc moc będzie z tobą - odparł Jack, szczerząc zęby.

Tytuł oryginału:
Temptation Ridge

Pierwsze wydanie:
MIRA Books, 2009

Opracowanie graficzne okładki:
Kuba Magierowski

Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne:
Władysław Ordęga

Korekta:
Ewa Popławska, Władysław Ordęga

© 2009 by Robyn Carr

© for the Polish edition by Arlekin - Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych lub umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Arlekin - Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-238-8771-3

Konwersja do postaci elektronicznej:
Legimi Sp. z o.o.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).